

Bartosz Rosenberg

Pepi w kolorze blue

Na Dużej Scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego Agnieszka Glińska zrealizowała *Z biegiem lat, z biegiem dni [gdzie jest Pepi]*. Kanwą dla tego spektaklu jest scenariusz Joanny Olczak-Ronikier powstały do legendarnego siedmiogodzinnego przedstawienia Andrzeja Wajdy z 1978 roku. Był to spektakl-konglomerat wykorzystujący fragmenty utworów m.in. Michała Bałuckiego, Gabrieli Zapolskiej czy Stanisława Przybyszewskiego, który mówił o findesieclowej przeszłości Krakowa i dwóch krakowskich rodzinach żyjących w latach 1874–1914.

Glińska, adaptując ów tekst, wybrała ze scenariusza Olczak-Ronikier dość chaotycznym gestem wątki, które nie sklejają się w wartką i spójną narrację; dopisała do niego opowieść o swojej prababci Pepi Weiss – Żydówce mieszkającej w Krakowie na przełomie XIX i XX wieku. Jej historię reżyserka odczytuje z zeszytu, jak uczennica, beznamiętnym, reporterskim tonem, pojawiając się na scenie niczym Tadeusz Kantor „nadzorujący” swoich aktorów. Wszedł z tego spektakl szalenie zdystansowany, rozproszony, ale za to – co jest jego największym atutem – bardzo dobrze rozegrany formalnie i estetycznie.

Niestety adaptacja nie jest najlepiej przeprowadzona – chyba nadmiar tekstu, z którym przyszło się zmierzyć Glińskiej, przerósł jej możliwości i w trzyipółgodzinnym przedstawieniu nie zdołała zmieścić tego, co chciała przekazać widzom. Myślę, że dobrym rozwiązaniem byłoby podjęcie wcześniej decyzji o radykalnym skróceniu scenariusza i wybraniu kilku scen, które stałyby się esencją tego spektaklu. Ale może pies leży pogrzebany gdzie indziej – wcale nie w adaptacji, lecz w celowym zabiegu stworzenia na scenie sytuacji, które trwają niepotrzebnie długo, nużą i irytują – jak te z ciągle powtarzającą się frazą muzyczną – by tym sposobem zbliżyć się do postawienia diagnozy współczesnego polskiego społeczeństwa. Miałyby to nawet sens – przypomnijmy, że właśnie na tej scenie w 1901 roku doszło do premiery *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, dramatu, który wywołał ostre dyskusje o kondycji ówczesnego społeczeństwa.

Genius loci Dużej Sceny Teatru Słowackiego Glińska unaoczniała, posługując się scenografią i światłem jako językiem, który jest najbardziej wymownym środkiem i którego pojemność wystarczy, aby opowiedzieć historię Pepi Weiss – zamordowanej w nazistowskim obozie pracy w Skarżysku-Kamiennej. Otóż Glińska dzięki tej historii wprowadza wątek Zagłady – ale nie tylko Zagłady Żydów, lecz także większej części polskiej inteligencji. Uwydatnia go na scenie poprzez wstępne didaskalia *Wesela*, które następnie kojarzy z malarstwem Andrzeja Wróblewskiego.

„[...] Izba wybielona siwo, prawie błękitna, jednym szarym tonem półbłękitu obejmująca i sprzęty, i ludzi, którzy się przez nią przesuną. [...] I cała uwaga osób, które przez tę izbę-scenę przejdą, zwrócona jest tam, ciągle tam; zaszuchani, zapatrzeni ustawicznie w ten tan, na polską nutę... wirujący dookoła, w półświatle kuchennej lampy [...].”

Tyle że ta izba wybielona siwo nie jest miejscem wesela żywych osób. W opustoszałym, być może też splądrowanym przez nazistów mieszczańskim salonie, usytuowanym gdzieś na krakowskim Kazimierzu, pozostawione zostały tylko krzesła, fotele i sofy, które obejmuje światło „prawie błękitne”. W inscenizacji Glińskiej, tak jak w malarstwie Wróblewskiego, symbolem zbrodni – jej metaforą – są postacie „ukrzesłowione”, zabite kolorem półbłękitu. Bohaterowie *Z biegiem lat...* przesuwanymi się przez izbę-scenę, siedzący na sofach i krzesłach „naznaczeni” są właśnie takim cieniem – błękitnym powidokiem.

Tym zabiegiem reżyserskim Glińska podkreśla to, że na scenie mamy do czynienia z widmami – powidokami historii – których status został określony już na samym początku spektaklu. Kiedy podnosi się kurtyna Siemiradzkiego, półbłękitne światło wydobywa zalegających na podłodze i „ożywających” powoli bohaterów, którzy w „półświatle kuchennej lampy” będą zbierać się na wesele. Wszystko to dzieje się w jednej, niezmiennej scenografii, w której zachodzą czasami drobne, ale istotne zmiany – na przykład znikają krzesła, jakby zabrał je idący przez scenę niewidzialny Chochoł, oczyszczający przestrzeń z widm i porządkujący rzeczywistość.

Przekonujący jest też sposób gry aktorskiej, szczególnie gościnnie występującego Łukasza Simlata w roli Stanisława Przybyszewskiego. Jego gra oparta jest na kontrapunktach. Z jednej strony demoniczny, grający z brawurą i rozedrganiem skupionym wewnątrz, a z drugiej zmieniający się niepostrzeżenie w pogrążonego w myślach melancholika-intelektualistę. Trzeba też wymienić Dominikę Bednarczyk, Dorotę Godzic, Annę Tomaszewską, Katarzynę Zawiślak-Dolny i Sławomira Rokitę, którym udało się umiejętnie stworzyć role pełnokrwistych widm (fenomen: widma mogą być ukrwione), zastępujących papierowe, literackie falsyfikaty.

Z biegiem lat... to spektakl dla widzów, których nie zraża dystans i rozproszenia inscenizacyjne, którzy lubią tracić czas na doszukiwanie się w pustce sensów i metafor i którzy po prostu cenią kontakt z tradycyjnym teatrem, nie uciekającym od ważnych i aktualnych tematów.